

# Ona i On

## czyli egzystencjalizm kobiecy w wykonaniu Krystyny Jandy

**L**IRYKA, dynamika i odrobina Lironii - tak można określić nastrój wytworzony przez Krystynę Jandę podczas koncertu, który odbył się 15 grudnia w lubelskim Centrum Kultury. Magnetyzująca osobowość artystki sprawiła, że widownia miała sposobność uczestniczyć w spójnym, pełnym ekspresji spektaklu. Wykonanie piosenek Janda połączyła bowiem z ich zapowiedzią, w której dowcipna anegdota przeplatała się z nostalgicznym wspomnieniem o Agnieszce Osieckiej oraz z żartobliwą informacją o współtwórcach programu i sobie samej. Na zmysły publiczności oddziaływała także gra barw - czerni i rozświetlonej bieli. Jasnowłosa gwiazda w połyskliwej czarnej kreacji wystąpiła z czteroosobowym zespołem muzyków na przyściemnionej scenie. Wszystko to ewokowało atmosferę z czasów świetności piosenki kabaretowej w Berlinie czy Paryżu i eksponowało linię tematyczną - kobietę.

**O**NA jest przecież bohaterką koncertu, i to nie wzorcowa Matka-Polka, lecz kochanka. Mężczyzna zawsze stanowi punkt odniesienia dla jej nadziei, pragnień, lęków i frustracji. Problem ten Janda z właściwym sobie wdziękiem ujęła różnorodnie - od liryzmu, poprzez dramat, aż po lekko ironiczny dystans. Najwięcej tłumionego bólu było w piosenkach ze spektaklu „Biała bluzka” wg Agnieszki Osieckiej. Nic dziwnego, opowiada ona o kobiecie „na zakręcie” - zdesperowanej, samotnej w tłumie i rozpaczliwie szukającej miłości. Inny nastrój przywołały francuskie przeboje z przedstawienia „Kobieta zawiedziona”, opartego na motywach powieści Simone de Beauvoir (notabene żony Jeana Paula Sartre'a). Ponieważ egzystencjalnej atmosfery paryskich kawiarni nie da się wskrzesić w tekstach, oprócz liryzmu pobrzmiewała liryczna nuta humoru. W dużym stopniu przyczynili się do tego ich polscy autorzy: Jeremi Przybora i Wojciech Młynarski.

Ostatnią część występu stanowiły trzy piosenki z popularnego w Europie i nie tylko spektaklu „Marlena”. Jak można się domyślić, bohaterką jest Marlena Dietrich, przedwojenna pogromczyni męskich serc. W tym momencie polska gwiazda uchyliła nam rąbka intymnej tajemnicy: stała się

dojrzałą kobietą, kiedy zrozumiała, że wielka Niemka śpiewając „Moje blond małeństwo” ma na myśli nie dziecko, lecz mężczyznę.

**G**ŁĘBOKI, niski, niekiedy lekko zachrypnięty głos artystki - jak sama tłumaczyła: z powodu przeziębienia - wytworzył na widowni magiczną rzeczywistość. Przez półtorej godziny obcowaliśmy z kobietą piękną, utalentowaną, błyskotliwą i bezpośrednią. Tak więc chapeau bas, panowie!, czyli czapki z głów!

Wiesława Turzańska